

Zofia Stanecka: Do dziś Lewis kojarzy mi się z przyjaźnią

Gdy czyta się „Opowieści z Narnii” i książki Tolkienu nietrudno poczuć, że w światach tworzonych przez obu pisarzy jest jakaś bliskość. Być może wynika ona z faktu, że obaj kochali baśnie i obaj wyznawali podobny system wartości. A może ta bliskość jest odbłaskiem ich przyjaźni, która potrafi zbudować most ponad różnicami. Ja w każdym razie czułam tę bliskość nawet wtedy, gdy nie wiedziałam jeszcze, że oni się znali – mówi Zofia Stanecka w wywiadzie z Jakubem Pydą w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „C.S. Lewis i świat (nie)stworzony”.

Jakub Pyda (Teologia Polityczna): Jak odkryła Pani C. S. Lewisa?

Zofia Stanecka (pisarka): Dochodziłam do niego różnymi drogami. Pierwszy raz spotkałam się z nim za sprawą *Opowieści z Narnii*. Do dziś pamiętam, jak w czasie któryś Świąt Bożego Narodzenia siedziałam pod choinką, otoczona prezentami. Były wtedy jeszcze całkiem mała i z całego serca wierzyłam w Świętego Mikołaja. W jednej z paczek była *Podróż wędrowca do świtu*, wydana przez Pax w miękkiej oprawie, na brzydkim papierze. Rozerwałam paczuszkę i zaczęłam czytać tę książkę, która nie jest przecież pierwszą częścią serii. Tak wsiąkłam, że nie otworzyłam żadnego innego prezentu, dopóki nie przeczytałam całej powieści. Potem dowiedziałam się o innych częściach i zaczęłam je gromadzić.

To uroczy początek przygody, pełen mitycznej aury. Co było potem?

Później dowiedziałam się, że Lewis był przyjacielem Tolkiena. Ta historia też wiąże się z pewną opowieścią. Pewnego razu wróciłam wcześniej ze szkoły i włączyłam telewizor. Trafiłam na dokument poświęcony Lewisowi. Tolkien opowiadał w nim o uczuciach towarzyszących śmierci Lewisa.

Pamięta pani te słowa Tolkiena?

*Dwie najbardziej poruszające
książki Lewisa to dla mnie
Póki mamy twarze napisane
dla żony i Smutek, który
napisał po jej śmierci*

Mówił, że kiedy umiera ktoś bliski, to tak jakby od drzewa odpadła gałąź. W chwili śmierci Lewisa czuł się tak, jakby wyrwano mu jeden z korzeni. Pamiętam,

że słuchając tych słów, wpadłam w jakiś dziwny rodzaj hysterii. Bo oto nagle okazało się, że ci dwaj wielcy pisarze się znali. Wkrótce potem wróciła z pracy moja mama. Była zdumiona, bo rzuciłam się jej na szyję, płacząc ze wzruszenia: „Oni się znali! Oni się znali!”.

Nie przypuszczała Pani, że byli przyjaciółmi?

Choć znałam i uwielbiałam książki obu, do tamtej pory odkrywałam je zupełnie osobno. Świadomość, że łączyła ich przyjaźń, była jak otwarcie nowych drzwi. Być może właśnie dlatego aż do dziś Lewis kojarzy mi się z przyjaźnią.

Lewis to także autor, którego twórczość nie kończy się na *Opowieściach z Narnii*.

Naturalnie! Chociaż pisałam pracę magisterską o Narnii właśnie, dwie najbardziej poruszające książki Lewisa to dla mnie *Póki mamy twarze*, napisane dla żony i *Smutek*, który napisał po jej śmierci. Ta ostatnia książka to dla mnie dzieło szczególne, nieporównywalne z innymi.

A ta druga książka?

Póki mamy twarze to trochę dziś zapomniana historia Erosa i Psyche, opowiedziana z perspektywy Orual – brzydkiej siostry Psyche. Lewis napisał tę historię tak, że można czytać ją zarówno wprost, jak też odnajdując w niej zapowiedź chrześcijaństwa.

No właśnie, w jakim stopniu duchowość kształtowała twórczość Lewisa?

C.S. Lewis miał przekonanie, że wszystkie mityczne historie z całego świata, te dotyczące powstania świata i człowieka, są tak naprawdę opowieściami o tym samym Bogu. Ludzie w różnym czasie, w różnych

miejskach tworzyli różne teksty kultury, których istota zbiegała się w jedno. Życie Chrystusa było zaś, według niego, prawdziwym wypełnieniem tej historii. *Póki mamy twarze* można odczytać właśnie tym kluczu.

Wygląda na to, że Lewis pisał książki, która miałyby towarzyszyć człowiekowi w szczególnych momentach życia.

Nie wiem, czy miał taki zamysł. Na pewno jednak dla mnie samej *Smutek* jest tego typu książką. Czytałam go parę razy w życiu i za każdym razem była to bardzo dotykająca lektura. Najpierw czytałam *Smutek* jako fikcyjną historię o stracie i o tym, jak pod wpływem doświadczenia straty można dotknąć zwątpienia i utraty wiary, a jednocześnie pozostać przy wierze pomimo tego, że wszystko wydaje się jałowe. W czasie tej pierwszej lektury nie wiedziałam jeszcze nic o autorze i nie miałam pojęcia, że w *Smutku* zawarł własne bolesne przeżycia. Gdy czytałam tę książkę po raz drugi, byłam w zupełnie innym miejscu, bo doświadczyłam straty. Współodczuwałam z autorem, sama pogrążona w smutku po śmierci ojca. Po jakimś czasie odczytałam tę książkę jeszcze raz. I myślę, że to nie jest koniec mojej przygody ze *Smutkiem*.

A więc to taki pisarz na całe życie?

W swoim czasie Lewis był być może najważniejszym dla mnie pisarzem. Teraz jest gdzieś dalej, ale cały czas jest ważny.

Przejdźmy teraz do tematu, który fascynował samego Lewisa – alegorii. Jak jej używał?

Co ciekawe, to właśnie alegoria była przedmiotem sporów Lewisa i Tolkiena. Autor *Władcy Pierścieni* jej nie cierpiał, zarzucał przyjacielowi, że uparcie upycha alegorie w swoich książkach. Zdaniem Tolkiena opowieść powinna przemawiać sama przez siebie, bez dodawania do niej alegorycznych znaczeń. Lewis jednak często ją stosował. Poza *Smutkiem*, który jest szczególnym rodzajem opowieści, występuje ona chyba we wszystkich jego beletrystycznych książkach. Jednocześnie jednak książki te daje się czytać również bez odczytywania alegorycznych znaczeń.

Czyli nie widzi Pani tu nadużycia po stronie Lewisa?

Tolkien miał rację, że u Lewisa alegoria występuje niezwykle często. Siłą jego twórczości jest jednak to, że te opowieści są porywające same w sobie. Jeśli ktoś chce, może znaleźć to drugie dno, które autor ukrył pod powierzchnią powieści. Jego dzieła przemawiają jednak niezależnie od podwójnych znaczeń w nich zawartych. To sprawia, że każdy, kto zechce zanurzyć się w światach wymyślonych przez Lewisa, może w nich znaleźć coś fascynującego, niezależnie od światopoglądu. Poszukiwanie lub nieposzukiwanie alegorycznych znaczeń staje się drugorzędne. Odczytanie alegorii może służyć intelektualnym lub duchowym poszukiwaniom, ale nie jest konieczne do tego, aby cieszyć się samą opowieścią.

Może jeszcze o tej niezwyklej relacji Lewis–Tolkien. Widzi Pani wspólnotę ich twórczości?

Po niespodziewanym odkryciu, że pisarze się znali, wszystkie podobieństwa i różnice ich twórczości tylko zyskały, stały się bardziej frapujące, ale już wcześniej czułam, że ich światy jakoś się spotykają. Nic dziwnego, skoro wzajemnie czytali sobie fragmenty swoich książek, komentowali je, krytykowali. Lewis przyjmował niektóre uwagi, Tolkien zazwyczaj je odrzucał.

Różnica charakterów?

Lewis miał wielką wyobraźnię, ale czasem tworzył jakieś obrazy lub światy po to, żeby wyjaśnić lub opisać jakąś ważną dla siebie prawdę

Zapewne. Widać ją zresztą też w ich twórczości. W życiu codziennym, sądząc po zachowanych świadectwach, to Lewis był bardziej otwarty w sprawach

wiary czy przyjaźni, Tolkien zaś o wiele bardziej doktrynalny. W przypadku literatury zaś było całkiem odwrotnie! Twórczość Lewisa jest w zasadzie cała bardzo chrześcijańska, często w sposób bezpośredni, a niemal zawsze alegoryczny. Lewis miał wielką wyobraźnię, ale czasem tworzył jakieś obrazy lub światy po to, żeby wyjaśnić lub opisać jakąś ważną dla siebie prawdę. Tolkien był skupiony na samej opowieści. A przecież i w jego twórczości można

znaleźć tropy świadczące o jego poglądach i wizji świata, jaką prezentował. Kiedy pozna dzieła Lewisa i Tolkiena nieco lepiej, można dostrzec, że ich wizje często ze sobą dialogują.

Wywodzą się w końcu jakby z jednej formacji.

Tak i nie. Tolkien był katolikiem i z trudem akceptował anglikanizm Lewisa. Zaś Lewis po nawróceniu długo zastanawiał się, która z religii jest mu najbliższa i pozostawał otwarty na różne opcje. Tolkien zżymał się, że w świecie Narnii występują faunowie i Święty Mikołaj. Jego zdaniem to kompletne pomieszanie, które nie odpowiadało jego gustom. A jednak kiedy czyta się *Opowieści z Narnii* i książki Tolkiena nietrudno poczuć, że w światach tworzonych przez obu pisarzy jest jakaś bliskość. Być może wynika ona z faktu, że obaj kochali baśnie i obaj wyznawali podobny system wartości. A może ta bliskość jest odblaskiem ich przyjaźni, która potrafi zbudować most ponad różnicami. Ja w każdym razie czułam tę bliskość nawet wtedy, gdy nie wiedziałam jeszcze, że oni się znali.

A jednocześnie twórczość Lewisa to także propozycja dla dorosłych. Po które książki – Pani zdaniem – powinien sięgnąć dojrzały odbiorca?

Nie lubię słowa „powinien”. Czytanie jest przecież aktem wolności. Myślę jednak, że warto czytać Lewisa. A to, po jakie jego książki sięgnąć, zależy od tego, kim jest czytelnik. Jeżeli jest to człowiek wierzący, zapewne odkryje, że Lewis jest też autorem esejów i wykładów dotyczących wiary oraz duchowej autobiografii

Nie znajdziemy w „Smutku” prostych odpowiedzi. Lektura może co najwyżej towarzyszyć w bólu, uruchomić refleksję

zatytułowanej
Zaskoczony radością.
Czytelnicy
zainteresowanych
średniowieczem
mogą odkryć Lewisa
jako autora
podręczników
poświęconych

kulturze średniowiecza. Zaś poszukujący po prostu porywającej lektury mogą sięgnąć po *Trylogię międzyplanetarną* lub wspomniane już *Póki mamy twarz*. No i jest *Smutek*, wymykający się wszelkim kategoriom zapis żałoby.

Lektura terapeutyczna?

Przede wszystkim poruszające, szczerze świadectwo cierpienia, zapisane na żywo, złapane zaraz po doświadczeniu głębokiej straty. Opowieść o pustce i o nadziei, a także próba ocalenia żywego wspomnienia po tym, kto odszedł. Nie znajdziemy w *Smutku* prostych odpowiedzi. Lektura może co najwyżej towarzyszyć w bólu, uruchomić refleksję. Cenię ją za to, że nie oferuje banalnego pocieszenia. Mówi raczej: „Są straty, które zrozumienie nas przekracza. Mimo to nie warto popadać w rozpacz. Trzeba z tym bólem się zmierzyć, ponieważ jest to część naszego życia, część ludzkiego doświadczenia. Cierpienie jest bolesne, to prawda lecz takie ma być, bo właśnie ono świadczy o głębi miłości i prawdzie naszego bolesnego życia”. Może właśnie po takiego Lewisa szczególnie warto dziś sięgać.

Z Zofią Stanecką rozmawiał Jakub Pyda